Świat powieściowy.

Nr. 107 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Tajemnice wielkiego świata.

WOLNY PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

(Ciąg dalszy).

III

Bilet Leona de Villenave, pisany do Corinny, był krótki i zawierał tylko te słowa:

„Moja kochana Corinno!

Przybędę do ciebie z Leonem Maugeville, który prosić będzie Paulinę o portret Magdaleny. Boję się, aby Paulina nie domyśliwszy się, nie wiedziała co odpowiedzieć, dla tego powiedz jej, że mam bardzo ładny portret nieboszczki, o którym nie wie naturalnie mój przyjaciel, a który przyszlę jej jutro rano.

Leon.“

„Powiedz Paulinie, że Leon Maugeville oprócz tego iż jest, jak ona mówi, bardzo przystojny, ma jeszcze sto tysięcy franków dochodu.“

Lokaj pana de Villenave zaniósł ten bilet do Corinny, podczas gdy pan jego poszedł na ulicę l'Université, po pana de Maugeville.

Corinna mieszkała w nowej części miasta.

W początkach jeszcze, gdy grunta na bulwarze Malesherbes były po cenach przystępnych, bankier niemiecki, ten, który dał tak piękne djamenty Corinnie, kupił tysiąc metrów kwadratowych ziemi, kazał wybudować piękny dom, obok mały pałacyk i oddał jej wszystko.

Był to podarunek pożegnalny, bo wkrótce z nią zerwał.

Corinna wynajmowała dom cały, a w małym pałacyku zamieszkała sama, urządziwszy się bardzo wygodnie.

Zdawała się zresztą dobrze pojmować wartość pieniędzy. Mimo przepychu, jakim się otaczała, była bardzo oszczędna, i nie wydawała jak połowę swoich przychodów, spuszczając się na swą piękność i dowcip które pomagały do zaspokojenia zbytkowniejszych potrzeb życia.

Corinna miała lat przeszło trzydzieści, a sama przyznawała się do dwudziestu ośmiu. Była jeszcze bardzo piękną, cerę miała prześliczną i cudowne włosy czarne.

Paulina Régis miała lat dwadzieścia i była blondynką. Była ona także bardzo ładna, a choć Corinna była prawdziwą pięknością, mogły obie wszędzie być razem, nie szkodząc sobie wzajemnie.

Podczas gdy Leon de Villenave rozważał swoje plany, Corinna i Paulina myślały także o swoich.

Powróciwszy do domu, Corinna zamknęła się z swą przyjaciółką i jadły objad sam na sam.

— Ale przecie — mówiła Paulina wieczorem do Corinny, która kręciła cygareto — powiedz mi, w czem możemy pomódz twemu panu de Villenave, który, mówiąc nawiasem, strasznie mi się nie podoba?

— Jakto! nie zrozumiałaś?

— Niezupełnie przynajmniej.

— No to ja ci jaśniej wytłómaczę. Villenave ma rywala!

— Tak, Manuela Maugeville'a.

— I rachuje na nas, że go zbałamucimy.

— Ty, czy ja?

— To już do nas należy. Ale sądzę, że tu ty będziesz miała więcej szczęścia odemnie. Najpierw, jesteś młodszą...

— O! Corinno!

— A potem jesteś blondynką... jak Magdalena, do której jesteś nawet podobną. A potem... potem, serce ci mówi...

Paulina westchnęła.

— Ułożymy się zresztą potem — dodała Corinna śmiejąc się.

Paulina przysunęła się do niej bliżej, mówiąc:

— Odpowiedz mi Corinno szczerze. Wszak nie raz mi mówiłaś, że nienawidzisz tego pana de Villenave?

— Gorzej jeszcze, pogardzam nim! Jest to człowiek bez serca i honoru!

— A jednak, chcesz mu się przysłużyć.

— Bezwątpienia, ale przysługa ta przyniesie mi sto tysięcy franków.

Ładna aktorka ze zdumieniem spojrzała na swoją przyjaciółkę.

— Jakto! — rzekła — to ty, która masz czterdzieści tysięcy franków dochodu, rozumujesz w ten sposób?

— Moje rozumowanie jest następstwem wielu innych rozumowań podobnych, które mi przyniosły czterdzieści tysięcy franków dochodu, jak sama mówisz — odpowiedziała Corinna, śmiejąc się.

Potem mówiła dalej, patrząc na swą młodą przyjaciółkę:

— A twoje serduszko, czy wolne jest w tej chwili?

— O! zupełnie! — odrzekła Paulina, która właśnie zerwała związek, trwający od dwóch lat.

— Więc mówisz, że Manuel Maugeville jest bardzo przystojny?

— Pewnie że tak.

— Bogatym jest jak wiesz.

— O! co mnie to obchodzi!

— Oto są dziewczęta! — szepnęła Corinna. — Gdy będziesz w moim wieku, będziesz ty mówić inaczej. Wiemy, że Maugeville jest bogaty, i zrobimy to, że się w tobie szalenie rozkocha.

Paulinie serce zabiło.

W tej chwili przyniesiono bilet pana de Villenave.

— A co ci powiedziałam? — rzekła Corinna, pokazując go swej przyjaciółce.

— To znaczy — odrzekła Paulina, przeczytawszy bilet — że zaczniemy od kłamstwa.

— Czyś oszalała?!

— Ale — mówiła dalej młoda aktorka — jeżeli p. Maugeville kocha panią de Planche-Mibray...

— To wypowiemy jej wojnę.

Paulina nic nie odpowiedziała, ale widocznie cała ta intryga była jej wstrętną. Odgłos dzwonka Leona de Villenave, przyprowadzającego swego przyjaciela, przerwał nagle ich rozmowę.

— Wejdź, proszę cię — rzekła Corinna — do mego buduaru. Nie chcę, by cię zobaczyli zaraz.

— Dlaczego?

— Bo chcę wiedzieć najprzód, w jaki sposób Leon, który jest zrujnowany, myśli zapłacić te sto tysięcy franków.

Paulina weszła do buduaru, a w tejże samej chwili wszedł pan de Villenave z Manuelem de Maugeville.

— Myślałem, że Paulina jest tutaj — odezwał się pan de Villenave.

— Przyjdzie niedługo.

— Czy odeszła?

— Nie... zresztą jesteś za nadto ciekawy.

I podała rękę Manuelowi, mówiąc:

— Wiem co pana sprowadza, panie de Maugeville. Portret Magdaleny, nieprawdaż?

— Tak — odrzekł Manuel — ale jakim sposobem portret ten dostał się Paulinie?

— Paulina kupiła go przy wyprzedaży u Celiny, która jak panu wiadomo, żyła w wielkiej przyjaźni z Magdaleną. Zresztą zapłaciła za niego niewiele, bagatelę, dwa czy trzy tysiące franków. Portret roboty Pérignon'a, to wcale nie drogo.

— Naturalnie, że nie — odrzekł p. de Maugeville obojętnie.

— Ale, ale, kiedy mowa o portrecie — ciągnęła dalej Corinna — pozwól mi pan, panie de Maugeville, że zabiorę na chwilkę do mego pokoju pana de Villenave. Muszę z nim kilka słów na osobności pomówić o pewnym portrecie, który jemu powierzyłam.

Pan de Villenave zrozumiał po lekkiem zmrużeniu ócz Corinny, że to tylko pretekst do rozmowy bez świadków.

Poszedł więc za Corinną, która go zaprowadziła do dalszych pokojów.

Tam, spojrzawszy mu tylko w oczy, zapytała:

— Kiedy otrzymam sto tysięcy franków?

— Do djabła! jakaś ty prędka! — rzekł pan de Villenave, zmięszany zapytaniem.

— W jaki sposób myślisz mi je zapłacić?

— Z posagu.

— Z jakiego posagu?

— Do kata! z posagu mojej ciotki.

Corinna zaczęła się śmiać.

— Mój Leonku — rzekła — ja jestem kobietą rozsądku i w ten sposób nie załatwiam interesów.

— Wiesz dobrze, że gdybym miał sto tysięcy franków...

— Wiem, żebyś je najprzód przepuścił. Mniejsza o to, ale musimy się porozumieć...

— Chciałbym właśnie.

— Chcesz, żeby zawrócić głowę Manuelowi Maugeville, nieprawdaż? Paulina jest bardzo ładna, ma niejakie podobieństwo z Magdaleną, podobieństwo, które z pewnością zrobi na nim wielkie wrażenie. Maugeville nie kocha jeszcze twojej ciotki. Jeżeli Paulina zechce, potrafi zdobyć to serce niezdecydowane. Nieprawdaż, że takie twoje wyrachowanie?

— Tak — odrzekł pan de Villenave.

— Przejdźmy teraz do mego interesu, mój kochany.

— Mów.

— Gdy Maugeville złapany będzie przez Paulinę, nie koniecznie jeszcze pani de Planche-Mibray rzuci się w twoje objęcia.

— O! gdy Maugeville'a usunę, nie troszczę się o resztę.

— Dobrze! lecz w ten sposób jeszcze nie koniecznie będę miała moje sto tysięcy franków.

— Dam ci je zaraz, po podpisaniu kontraktu ślubnego.

— A kto mi zaręczy?

— Ależ... moje słowo!

— No, kochany Leonie — rzekła śmiejąc się Corinna — tylko bez śmieszności! Niedaremnie kochałam cię przez dwa lata, i wiem dobrze, co znaczy twe słowo szlacheckie! Dla tego zawsze wolę papier stemplowany.

— Co mówisz?

— Powiedz mi, ile czasu potrzebujesz podług twego wyrachowania, do poślubienia twej ciotki?

— Pół roku.

— A więc napisz weksel płatny za siedem miesięcy.

— Ale... moja kochana Corinno...

— Jak chcesz, mój kochany. Decyduj się...

— Aleś ty adwokat w spódnicy.

— Zawsze robię interesa na serjo.

Mówiąc to, Corinna otworzyła eleganckie biurko mahoniowe, wyjęła weksel gotowy i podając mu atrament i pióro, rzekła:

— Nie potrzebujesz wiele pisać. Dodaj tylko te słowa: przyjęty na sumę sto tysięcy franków i podpisz się.

— A jeżeli nie ożenię się z moją ciotką?

— W takim razie — rzekła śmiejąc się Corinna — będziesz miał o jeden weksel więcej, i na tem koniec!

Pan de Villenave wachał się jeszcze.

Corinna otworzyła okno, i wskazując swemu dawnemu kochankowi powóz zaprzężony, stojący przed gankiem, rzekła:

— Patrz, Paulina jest na dole. Tylko skinę na nią, a w tej chwili odjedzie i Maugeville nie zobaczy jej.

— Czy myślisz — odrzekł Leon — że nie potrafię jej odszukać?

— Tak, pewnie, ale ja oddam twój bilet Manuelow i Maugeville.

Pan de Villenave zagryzł usta.

— Złapała mię — szepnął.

— Spodziewam się! — rzekła Corinna śmiejąc się. — Podpisz.

— Cóż robić, muszę — westchnął p. de Villenave.

I podpisał weksel, który schowała starannie do biurka, zamknąwszy go na dwa zamki.

Potem wzięła swego dawnego kochanka za rękę, mówiąc:

— Chodź, przejdziemy przez mój buduar, znajdziemy tam Paulinę.

— Więc ona nie jest na dole w powozie?

— Nie, och, jakiż ty jeszcze dziecinny! Chodź.

. . . .

Pan de Maugeville, obojętny zresztą na wszystko, oczekiwał cierpliwie powrotu swego przyjaciela.

Kwadrans minął.

Nareszcie drzwi się otwarły i Corinna weszła, trzymając za rękę Paulinę Régis.

Młody człowiek mimowoli cofnął się.

Podobieństwo, istniejące między Pauliną Régis a Magdaleną, kochanką zmarłą Manuela, było widocznie wielkie.

Pan Maugeville doznał niejakiego wzruszenia, co zdawało się dobrą wróżbą panu de Villenave.

Ale wrażenie to trwało tylko chwilę.

Podobieństwo istniało tylko w twarzy. Gdy Paulina przemówiła, urok znikł, a pan Maugeville odzyskał przytomność umysłu.

Podano herbatę.

Pan de Maugeville nie był ani smutny, ani wesół. Mówił nie wiele o Magdalenie, pytał się tylko Paulinę, o której godzinie może być u niej, aby zobaczyć portret i wziąć go z sobą.

Nie było jeszcze dwunastej, gdy prosił o pozwolenie oddalenia się.

— Nie odprowadzam cię. Zostanę jeszcze — rzekł Leon.

Pan de Villenave chciał zostać, aby się dowiedzieć o wrażeniu, jakie sprawiła ta wizyta.

— Mój drogi — rzekła Corinna po odejściu pana de Maugeville — czy chcesz abym ci powiedziała otwarcie myśl moją?

— Proszę cię.

— Spóźniłeś się.

— Jakto?

— Maugeville już się kocha.

— W Paulinie?

— Nie, w baronowej de Planche-Mibray.

Pan de Villenave drgnął.

— W takim razie — rzekł — zwróć mi mój weksel.

— O! nie, gdy sobie raz co postanowię, musi być na mojem; obaczysz.

— Stało by się tak — szepnęła do siebie Paulina Régis — gdyby nie to, że ja nie przyłożę ręki do tych wszystkich niegodziwości.

I zmiąwszy bilet pana de Villenave, który Corinna zapomniała jej odebrać, schowała do kieszeni.

Teraz przejdźmy do pani de Planche-Mibray, którą uważano za najpiękniejszą kobietę w Paryżu.

IV.

Wszedłszy w ulicę de Babylone przez ulicę Inwalidów, widać zdaleka na lewo, wspaniały pałac w stylu na pół arabskim, na pół francuzkim, zbudowany z cegiełek różowych i niebieskawych, tak zwanych w Burgundji cegiełkami de Pontigny.

Przed pałacem znajduje się piękny dziedziniec, otoczony żelaznemi sztachetami. W tyle, obszerny ogród, w którym rosną majestatycznie największe i najstarsze drzewa na przedmieściu Saint-Germain.

Z ogrodu tego prowadzi również furtka na ulicę Inwalidów.

Pałac ten był niedawno zbudowany.

Ostatni baron de Planche-Mibray, kazał go wybudować na zwaliskach starego zamku dziedzicznego, który zdawał mu się być niegodnym do przyjęcia młodej i pięknej żony, będącej jasnym promieniem szczęścia w jego życiu.

W tym to pałacu teraz zamieszkiwała młoda wdowa.

Pani de Planche-Mibray miała lat dwadzieścia sześć.

Włosy jej były czarne jak heban, usta koralowe, zęby olśniewającej białości, oczy wielkie, prześliczne, ciemno niebieskie, jak niebo zwrotnikowe. Płeć miała smagłą, kibić cudowną, profil czysto grecki skończonej piękności.

Pani de Planche-Mibray, będąc Paryżanką z zwy-

czajów, wykształcenia i wychowania, z twarzy zupełnie przypominała kobiety Wschodu.

Wieczór, przy jasnem oświetleniu, widząc ją wchodzącą do sali balowej, rzekłbyś, to piękna odaliska wschodu, którą dziki sułtan zapragnąłby do swego haremu.

Wzrostu średniego, wątła i delikatna na pozór, posiadała giętkość, siłę i energję kobiety arabskiej.

Jeździła na koniu z zdumiewającą zręcznością.

Często można ją było widzieć rano, tylko ze służącym, ujeżdżającą najdziksze konie i przeskakującą barjery i rowy.

Nieraz podziwianą była przez złotą młodzież, kierując maleńką rączką bystre, rasowe konie, zaprzężone do eleganckiego fajetoniku.

Z pistoletu strzelała wybornie.

Pani de Planche-Mibray, ta kobieta nieznanego pochodzenia, bo nikt dotąd się nie dowiedział, jakiego była rodu, była lwicą paryską w całem znaczeniu tego wyrazu.

Mąż jej był starym, ona jaśniała młodością.

Zdawała się jednak go kochać, i nigdy nikt z panów, najśmielszy nawet, nie odważył się jej ubliżyć.

Odkąd została wdową, nikt jeszcze nie śmiał się do niej zbliżyć z wyznaniem miłości, lub chęcią starania się o jej rękę.

Zresztą była jeszcze w żałobie i nosiła ją z wielką godnością.

Czy chce wyjść drugi raz zamąż, nikt o tem nie wiedział.

Od czasu owdowienia żadna zmiana nie nastąpiła w trybie jej życia.

Jak dawniej tak i teraz, co piątku wieczór, przyjmowała u siebie kilku przyjaciół swego męża i kilka kobiet z lepszego świata.

Czas przechodził na pogadance, a po herbacie przed północą, wszyscy się rozchodzili.

Smutek pani de Planche-Mibray, nie był już teraz tak wielki, jak w początkach po śmierci męża.

Była wprawdzie jeszcze bardzo melancholijna, lecz poznać było już po niej tę potrzebę życia i pragnień młodości.

Żyła w wielkiej przyjaźni z panią Villemur, kobietą lat około trzydziestu, wdową jak ona, i która sobie postanowiła, nigdy zamąż nie wychodzić, poświęciwszy się zupełnie wykształceniu dwóch małych córeczek.

Była ona wdową po lekarzu pana de Planche-Mibray, zmarłym na dwa lata przed baronem.

Pałac de Planche-Mibray, z wyjątkiem piątków, był zawsze dla wszystkich zamknięty, nigdy zaś dla pani Villemur.

Przychodziła ona codziennie po śniadaniu do baronowej z swemi małemi córeczkami, i podczas gdy dziewczątka bawiły się w ogrodzie, one obydwie rozmawiały swobodnie z wielką przyjaźnią.

Otóż, nazajutrz po dniu tym, w którym Leon de Villenave rozpoczął tę ohydną intrygę, w którą spodziewał się wplątać panią de Planche-Mibray, pani Villemur i baronowa siedziały w małej oranżerji w głębi ogrodu, przekształconej na letnią warandę.

Czas był prześliczny, powietrze łagodne, słońce świeciło mile, drzewa rozwijać się zaczynały.

— Moja droga przyjaciółko — mówiła pani de Planche-Mibray — muszę ci przecie opowiedzieć historję mego życia, a raczej to, co wiem o niej, bo jest trochę ciemną i nigdy jej pewnie dokładnie znać nie będę.

Pani Villemur spojrzała na baronowę ze zdziwieniem.

— Muszę ci się wydawać zanadto smagłą na Paryżankę, nieprawdaż? — ciągnęła dalej baronowa.

— Jednakże — odrzekła pani Villemur śmiejąc się — czy można być prawdziwszą Paryżanką?

— I jak daleko sięga moja pamięć — mówiła pani de Planche-Mibray — widzę się zawsze w Paryżu.

— A więc, w takim razie...

— Czekaj... Nie należałam do rzędu tych dzieci, dojrzalszych nad wiek. Miałam już prawie pięć albo sześć lat, gdy dopiero zaczęłam mówić i pojmować, a byłam tak delikatną, maleńką i szczupłą, że wyglądałam na lat trzy.

Moje najdalsze wspomnienia sięgają do pensjonatu w Auteil.

Przełożona zakładu nazywała mię swoją córką, kochała jak córkę, i sądziłam nawet długo, że byłam jej córką w istocie.

Później, przypominam sobie dokładnie, przychodził mię odwidzać młody i przystojny człowiek, a pani Bergeron — było to imię przełożonej zakładu — mówiła mi, że to mój ojciec chrzestny.

Odwidzał mię codziennie, często przez miesiąc cały.

Potem dość długi przeciąg czasu nie widywałam go znowu.

Po kilku miesiącach zjawiał się napowrót.

Byłam do niego nader przywiązaną i bardzo go lubiłam, a dzieckiem będąc, nie zwracałam uwagi, że młody człowiek stawał się coraz starszym, a nareszcie i włos jego czarny, siwieć zaczął na skroniach.

Człowiekiem tym, odgadłaś nieprawdaż moja droga? był pan de Planche-Mibray.

Lata upływały.

Wiedziałam teraz, że jestem sierotą, a nie córką biednej pani Bergeron, która umarła w dniu mej pierwszej spowiedzi.

Pan de Planche-Mibray, będąc moim opiekunem, oddał mię do innego pensjonatu, do najpierwszego w Paryżu.

Byłam dosyć roztropną, uczyłam się bardzo dobrze i prędko.

Miałam najlepszych nauczycieli i uczono mię wszystkiego.

W szesnastym roku skończyłam moją edukacją.

Pewnego dnia odwidził mię znowu ten, którego

nazywałam moim ojcem chrzestnym.

— Dziecię moje — rzekł do mnie — nie możesz całe życie przepędzić w murach szkolnych. Czas już wprowadzić cię w świat.

— Ale — odrzekłam — czyż nie powiedziałeś mi, że jestem sierotą?

— Tak jest, na nieszczęście!

— I niemam nikogo z krewnych, oprócz ciebie?...

— I to prawda — rzekł westchnąwszy.

— Któż] będzie się mną opiekował w świecie — dodałam.

— Mąż — odpowiedział mi.

Na słowo: mąż, drgnęłam.

— Moje dziecię — mówił dalej — jesteś piękną i bogatą. Z przymiotami temi zawsze znajdziesz zacnego człowieka, chcącego cię uszczęśliwić.

Spojrzałam na niego, gdy to mówił, i zdawało mi się, że pobladł i łzy mu zabłysły w oczach.

Rzuciłam mu się na szyję.

— Mój Boże! — zawołałam — czyż mogłabym kochać kogo innego prócz ciebie?

— Moje biedne dziecię — odpowiedział uwalniając się z mego uścisku — czyż nie widzisz, że wkrótce będę starcem zgrzybiałym?

I odszedł nagle, jakby chciał uciec odemnie.

We dwa tygodnie powrócił znowu.

— Moje dziecię — rzekł do mnie — znalazłem ci już męża.

— Nie chcę innego prócz ciebie — odpowiedziałam — ciebie tylko kocham... a i ty mnie kochasz...

I w istocie, droga moja, kochał mię bardzo ten poczciwy człowiek, a nasza poprzednia rozmowa otwarła mu oczy, i przekonała o prawdziwym stanie jego serca.

Przywiązanie opiekuna zmieniło się w miłość. Odgadujesz resztę, nieprawdaż?

W pół roku później zostałam baronową de Planche-Mibray.

Mego nazwiska rodzinnego, nazwiska mej matki, nie dowiedziałam się nigdy.

Pan de Planche-Mibray uczynił mię najszczęśliwszą z kobiet, lecz nigdy nie mogłam dowiedzieć się od niego, najdrobniejszego szczegółu o mojej rodzinie.

Pewnego dnia jednak, nie długo przed śmiercią barona, właśnie gdym spodziewała się zostać matką, prosiłam go znowu, aby mi coś przecie o mej rodzinie powiedział, na co mi odrzekł:

— Nie mogę ci droga moja tego powiedzieć, czego sam nie wiem. Nie wiem gdzieś się urodziła. Rodzice twoi pomarli... a ja cię wziąłem za swoją córkę. I oto wszystko. Jednakże później, gdy będziesz matką.. powiem ci może kilka szczegółów, których teraz nie chcę i nie mogę ci powiedzieć.

— I baron umarł... — rzekła pani Villemur.

— Umarł i wziął z sobą tajemnicę do grobu.

— A więc, droga moja przyjaciółko, zadowolnij się tem, że jesteś młodą, piękną, bogatą, uwielbianą i nosisz imię najszlachetniejszego z ludzi.

Baronowa chwyciła raptownie rękę pani Villemur.

— Nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego — rzekła.

— A!

— Mam jakieś wewnętrzne przekonanie, że dziwna tajemnica wiąże się z mem urodzeniem.

— Z kąd mogłaś nabrać podobnego przekonania?

— Z wypadku, jaki mi się zdarzył niedawno.

— Wypadek?

— O! dziwny, nadzwyczajny... przerażający...

I głos pani de Planche Mibray, zdradzał pewne wzruszenie.

— Ale cóż ci się zdarzyło takiego? — zapytała pani Villemur, której uwadze nie uszło drżenie jej głosu.

— Słuchaj droga, powiem ci wszystko — mówiła dalej pani de Planche-Mibray — bo tajemnica ta ciąży mi już od dwóch miesięcy, i potrzebuję twej rady.

— Mów, proszę cię.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Angielska historja

NOWELLA

NAPISAŁ MIECZYSŁAW SCHMITT

(Ciąg dalszy.)

VI.

Po kilku dniach tajemnica zabójstwa hotelowego zaczęła się wyświecać. Kombinując wiadomości nadesłane przez policję londyńską, jak nie mniej dorozumiewając się wiele z listu p. Stockforda, sąd przyszedł wkrótce do poznania całej prawdy.

Nie ulegało wątpliwości, że Alicja Stockford, wydana wbrew swej woli za pana Meeding, zabiła go owej pamiętnej nocy. Obdukcja wykazała ślady uduszenia na szyi ofiary, a badania chemiczne stwierdziły zato, że nieboszczyk zażył, zapewne na krótko przed śmiercią, z wiedzą lub bezwiednie, silną ilość jakiejś nie dającej się bliżej zbadać trucizny roślinnej.

Uduszenie było zatem połączone z otruciem.

Wszystko więc było na dobrej drodze, zbrodniarka tylko zniknęła bez śladu, i wszelkie najskrupulatniejsze poszukiwania, okazały się bezowocnemi.

Kilka osób widziało wprawdzie późno w nocy, podobną do dawanego im opisu kobietę, lecz co się z nią stało, nikt nie wiedział.

Po tygodniu rozmowy w mieście zaczęły już powoli przycichać o tej historji. Życie ludzkie zbyt się toczy szybko, by sprawa choćby i najważniejsza, nie musiała ustępować miejsca nowym, idącym po sobie z błyskawiczą szybkością.

Nawet sąd uznał w końcu za stosowne złożyć sprawę do aktów, zawiadomiwszy swego kolegę w Lon-

dynie: „że zbrodniarka stała się nieodszukalną.“

Właśnie pan sędzia, prowadzący sprawę, porządkował systematycznie wszystkie protokóła, zeznania, itp. odnoszące się do zabójstwa londyńskiego bankiera. Uskuteczniwszy tę żmudną pracę, nakreślił na czystym arkuszu papieru, treściwy przebieg śledztwa, z uwagą, że „składa się do aktów, z powodu nieodszukania winnej.“ Ponieważ zaś pan sędzia nie miał pod ręką ani piasku, ani bibuły, więc po skończonem pisaniu, czekając zanim atrament wyschnie, zdjął okulary, oparł się o poręcz krzesła, i zapadł w zadumę nad znikomością rzeczy ludzkich.

Był starym mężem młodej żony. Proces, który leżał spisany przed nim, usposabiał go nader melancholicznie. Przedarł się myślą przez grube mury i setki ulic, do pomieszkanka, w którem ukochana Józia, krzątała się około zajęć gospodarskich. W fartuszeczku czyściutkim, biegała z pokoju do pokoju... tutaj usunęła niesymetrycznie wystające krzesło, tam jakiś proch się pokazał na stole, ówdzie zsunęła album na naznaczone mu miejsce, i tak dalej a dalej, w nieustającym ruchu biegała i skakała jak ptaszę w klatce, choć w klatce złotej! Pan sędzia bowiem nie szczędził niczego, ażeby uprzyjemnić życie swej ukochanej młodej połowicy. Lecz czego to się wstrząsł tak pan sędzia? A — dzwonek dał się słyszeć, a ledwie głos jego przebrzmiał, wszedł do pokoju pan Eugeniusz, kuzyn daleki żony.

Pan sędzia nie lubił tego kuzyna. Co zaś dziwniejsze, i pani sędzina także go nie lubiła. Nie można mu było jednak wzbronić drzwi domu. Zresztą przychodził tak rzadko. Dla czegoż właśnie teraz przyszedł?—zapytał się w duchu pan sędzia, zapominając zupełnie, że marzy tylko... Odpowiedzi jakoś nie mógł znaleźć. To dziwne — zastanowił się. — O tej porze nie zwykł przychodzić. To bardzo dziwne. Co też on mówi?—starał się dosłyszeć. Nie słyszał jednak nic, ale za to widział, o! widział dobrze... a co... poznamy po skutkach, gdyż zerwał się z siedzenia jakby ukłuty żądłem żmyi... i... no, i naturalnie oprzytomniał.

Był w biurze, a przed nim leżał na stole proces mężobójczyni!...

Uśmiechnął się z politowaniem, zapewne nad samym sobą, przetarł czoło i usunął na bok plik aktów znanej nam sprawy. Wziął się zaś do innej.

Lecz jakoś robota nie szła.

Powstał wkrótce mrucząc:—To dziwne... muszę się przekonać!... — i począł się gotować do wyjścia, gdy zjawienie jakiejś obcej osoby przeszkodziło wykonaniu tego zamiaru.

— Czy mam przyjemność mówić z panem sędzią P.? — pytał przybyły łamaną francuzczyzną.

— Tak — odparł sędzia, na szczęście rozumiejący trochę ten język. — Czem mogę służyć?

— Jestem Jonatan Enders, a przychodzę w sprawie Alicji Meeding, z domu Stockford!...

VII.

Po zniknięciu Alicji z domu Gustawa, w sposób dla pana i sługi zupełnie niezrozumiały, zdawałoby się, że wielki ciężar spadł obydwóm z serca. Z Wincentym było też tak rzeczywiście. Starzec zapomniał wkrótce o chwilowem przerażeniu, i oddał się cały radości, że tak czy owak pan jego pozbył się w gładki sposób tej nieznajomej.

Inaczej jednak rzecz się miała z Gustawem. Na razie ucieszył się. Musimy tu bowiem nadmienić, że życie jego usłane dotąd różami, nie wyrobiło w nim żadnego hartu duszy, i wytworzyło zeń raczej istotę chwiejną, słabą, podpadającą chwilowym popędom lub porywom, i poddającą się każdemu i wszystkiemu, a nie opierającą się nigdy na poczuciu własnej wewnętrznej siły.

Serce jednak, grunt, było czyste i zdrowe. To też wybryki młodzieńcze nie dosięgały nigdy brudu, a idąc w tym względzie jedynie za duchem czasu i za przykładem przyjaciół, w słowach tylko a nie czynach okazywał się owym przeżytym cynikiem, mówiącym nieraz z najzimniejszą krwią o rzeczach najbardziej serca ludzkiego się tyczących. W ogóle, można było o nim powiedzieć, że wydawał się innym jak był, że grzeszył młodością, brakiem rozwagi, ale że potrzeba było jednej chwili, ażeby się otrząsł jak motyl ze swej skorupy i wyleciał przekształconym, do pierwotnego zupełnie niepodobnym człowiekiem.

Potrzeba było tylko do tej metamorfozy jakiegoś silnego wstrząśnienia, jakiejś zmiany... głębszego uczucia...

Dotąd ślizgał się tylko na złotych łyżwach, po szklistej i kruchej powłoce lodów łatwo topniejących.

Nawet panna Helena nie była mu obojętną. Nie kochał jej, a choć przypuszczał, że może był kochanym, to właśnie dla tego jako zdobycz zbyt łatwa, dziewczę to nie miało dlań żadnego uroku. W sercu jego była próżnia, lecz próżnia podobna owej atmosferycznej, wciągającej w danym razie w siebie wszystko z niczem niepowstrzymaną siłą i potęgą.

Jak powiedzieliśmy Gustaw ucieszył się na razie ze zniknięcia Alicji. Odetchnął swobodnie po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin. Zmęczony, położył się wkrótce i próbował usnąć. Lecz jak tylko oczy zmróżył, w pokoju robiło się nagle jasno od jakichś dziwnie świecących dwóch punktów. Silny ich promień palił go, czuł że pod ich wpływem goreją mu lica, i że światło raziło go, mimo zamkniętych powiek! A jednak wpatrywał się w nie całą duszą, aż powoli... powoli... te dwa punkta płomieniem gorejące, zmieniły się w czarne, smutne, łzawe oczy Alicji...

Zdawały się go o coś błagać!...

Malował się w nich jakiś wyrzut!...

Gustaw drgnął... i otworzył oczy... Widziadło znikło, ciemności i cisza panowały dokoła. W umyśle jego powstała mała, nieznaczna na razie wątpliwość,

czy właściwie powinien był się cieszyć ze zniknięcia Alicji... czy też nie?... Jakieś słabe przeczucie obowiązku bronienia istoty nieszczęśliwej, odezwało się w głębi jego serca... Nie wątpił, że kobieta ta, jeżeli popełniła rzeczywiście zbrodnię, to tylko ostateczna rozpacz ją do tego popchnęła. Wyczytał to w jej anielskiej twarzy. A on miał ją pod swoim dachem, i nie umiał uszanować jej nieszczęścia, nie zdołał otoczyć opieką. troskliwością, i chociaż nie wprost, ale wydał ją w ręce może nie zawsze sprawiedliwego, ale zawsze nieubłaganego prawa. W chwili zaś właśnie, kiedy on cieszy się, iż się jej pozbył, może szorstkie ręce posiepaków chwytają ją, a jutro stanie u stóp szafotu, szukając wzrokiem wśród tłumu gawiedzi tego, który ją wydał i wskaże go palcem!...

— Nie, nie!... — zawołał prawie Gustaw, zrywając się z łóżka. — Muszę ją wyszukać! Muszę wyratować! Bo ona niewinna!

Szare światło poranne przeciskało się już przez szpary okiennic.

— Zapóźno! — jęknął rzucając się na łoże. — Zapóźno!... byłem podły!...

Leżał tak nieruchomy, martwy...

Ciało obumarło, lecz dusza, serce, pracowały!...

Obraz Alicji wpajał się w jego całą istność duchową coraz silniej a silniej. Myślą przebiegał najdrobniejsze szczegóły swego poznania się z obcą kobietą. Badał każdy rys jej twarzy, każdy ruch, każde spojrzenie jej oka. Starał się przeniknąć tajemnicę, osłaniającą tę czarowną postać!

Wszystkie jednak usiłowania, kończyły się na rodzaju pewnej ekstazy, w jaką co chwila zapadał, nie mogąc oderwać wzroku od tych wszystko aborbujących błagalnych oczu Alicji, oczu, w których raz czytał obietnice raju, a raz drętwiał pod wpływem demonicznej potęgi ich spojrzeń!...

Gdy do pokoju wszedł Wicuś, przeląkł się na widok, jaki się jego oczom przedstawił. Gustaw leżał na poprzek zmiętego i rozburzonego łóżka. Oczy miał otwarte, twarz wypieczoną, usta spalone, a choć patrzył, zdawał się nic nie widzieć.

— Panie! — zawołał z rozpaczą w głosie sługa — panie... co to znaczy? — i z troskliwością matki, ułożył go wygodnie na posłaniu.

Gustaw nie sprzeciwiał się słudze, lecz milczał. Milczenie to jego wydało się jednak Wicusiowi tak niebezpiecznem, że nie namyślając się wiele, pobiegł po lekarza.

Stara służąca, jedyna towarzyszka znajomego nam eskulapa, zbyła go krótko: „że pan wyjechał w nocy, zawezwany gdzieś daleko do chorego.

— Zostawił tu jakiś list dla was — dodała staruszka, i wyszukawszy go w obszernej kieszeni, wręczyła Wicusiowi.

Sługa biegł z niepokojem ku domowi. Zanim by zawezwał jednak innego lekarza, chciał wpierw zobaczyć, czy nie zaszła jaka zmiana.

Gdy przechodził zamyślony koło hotelu, tędy bowiem wypadała mu droga, cieniutki jakiś głosik odezwał się doń:

— A gdzie to pan Wincenty tak spieszy, że nie poznaje nawet znajomych?...

— Pan mój zachorował, biegnę po lekarza — odparł Wicuś, i kłaniając się z gracją, gdyż był zawsze z wielkim respektem dla płci pięknej, oddalił się szybko.

Rózia — gdyż ona to była — chciałaby się była dowiedzieć jakich bliższych szczegółów. To też zawiedziona odeszła z minką bardzo niezadowoloną.

Tymczasem Gustaw, zmęczony całonocną walką, usnął, co uspokoiło Wincentego. Gdy się nareszcie przebudził, smutna rzeczywistość wydała mu się stokroć gorszą, od gorączkowych nocnych marzeń.

Pierwsza jasna myśl, była myślą o Alicji, pełna troski, niepokoju i śmiertelnej obawy. Prostym zdrowym rozumem sądząc, musiała się już znajdować ta nieszczęśliwa ofiara w rękach sprawiedliwości. Ukrywać się przecie długo nie mogła, a pierwsze brzaski dnia, były dla niej pierwszymi zwiastunami śmierci!

Wstał zadumany i począł się gotować do wyjścia. Na wybladłej jego twarzy, malował się spokój, nie rymujący z wewnętrznem wzburzeniem. Lecz nie była to maska, znamionująca bezduszną obojętność, ale raczej nieznanym dotąd na tej pięknej twarzy młodzieńczej, wyrazem woli i stałego postanowienia.

— Czy doktor był dzisiaj? — zapytał Wicusia.

— Po co?

— Jakto po co? Przecież nie wie nic o zniknięciu nieznajomej, i powinien był ją dziś odwidzieć!

— Ponieważ zaś nie był, ja tam chodziłem i oto...

— Po co? — zapytał teraz Gustaw, wpatrując się badawczo w Wicusia...

— To nic... tak... ażeby mu powiedzieć... — jąkał się Wicuś, nie chcąc zdradzać prawdziwej przyczyny, żeby to nie oddziałało źle na ukochanego panicza.

— Ty kłamiesz! — zawołał Gustaw biorąc starca za ramię. Straszna myśl przeleciała przez jego umysł, myśl piekąca jak rozpalone żelazo, myśl, że starzec ten wyrzucił po prostu w jego nieobecności, nieszczęsną ofiarę za drzwi jego domu! — Ty kłamiesz — wołał trzęsąc przelęknionym starcem — tyś ją wyrzucił!

— Nie panie... klnę się na Boga... — tłumaczył się Wicuś.

— Po coś więc chodził do doktora?

Wincenty wypowiedział całą prawdę, widząc że nie ma innej rady, i oddał panu list otrzymany od lekarza.

Gustaw przebiegł go szybko oczyma:

Kochany Gustawie!

Wezwany do ciężko chorego przyjaciela w M., wyjeżdżam na kilka dni. Gdyby wiadoma osoba potrzebowała opieki lekarskiej — co zresztą wątpię, pewnie dziś przyjdzie o tyle do siebie, że będzie mogła wyjść — otóż w razie danym załączam kilka słów do mego

kolegi i przyjaciela Dr. S. ręcząc za jego dyskrecję!

Całuję Cię serdecznie Dr. P.

Gustaw otworzył i drugi list. — Powiadamiano w nim Dr. S. o przebiegu słabości i proszono o zachowanie tajemnicy.

— Więc nie Wincenty i nie lekarz ją z tąd uprowadzili — pomyślał Gustaw.

Ale kto?

VIII.

Panna Helena obudziła się dość późno, po owym wieczorze, a obudziła się, jak to się teraz nader często zdarzało, w bardzo złym humorze. Poczęła gderać, narzekać, śniadanie odesłała nietknięte, o ubieraniu się zaś ani myślała.

Tymczasem zbliżała się godzina objadowa, jedynie może ważna w monotonnem życiu pana Amadeusza i jego otoczenia.

Trzeba bowiem wiedzieć, że o ile pan domu był cichy i potulny w każdej innej okoliczności, w kwestjach objadowych był najsroższym tyranem, i biada temu kto odstąpił choć na włos od uświęconego regulaminu. I tak: objad musiał być podawany z uderzeniem pół do pierwszej.

Przy objedzie musieli się znajdować wszyscy w domu obecni.

Co do samego menu i innych przepisów, wolimy zamilczeć z obawy, żeby nas nie posądzano o obmowę.

Nadmienimy tylko, że nawet w dzień pogrzebu ś. p. żony p. Amadeusza, nie odstąpiono ani na jotę od przyjętej reguły.

Gdybyśmy chcieli podać, choćby najbłachsze powody, które mogły natchnąć pana Amadeusza tem niepojętem dla nikogo dziwactwem, tobyśmy je z pewnością podali. Niestety, nie możemy jak tylko zanotować sam fakt, bez wszelkich komentarzy.

Było to dziwnem, niezbadanem, jak wiele innych zjawisk natury.

To też i panna Helena, w każdym innym względzie samowładna pani, uginała tutaj piękną swą główkę, i szanowała wszystkie przepisy bez wyjątku.

Powiedzieliśmy, że pora objadowa się zbliżała. Handzia kręciła się po pokoju, spoglądając to na zegar, to na swą panię. Dwunasta już wybiła, a panna Helena nie ruszała się wcale z wygodnej kanapki i nie zdradzała najmniejszej ochoty do ubierania się. Pokojówka ofuknięta kilka razy, bała się odzywać.

— Nie wiesz, czy znaleziono tę angielkę? — zapytała nagle pokojówkę. — Żal mi jej — mówiła jakby kończąc zdanie w myśli poczęte. — Taka młoda, ładna... Pewnie ją śmiercią ukarzą!...

— A pewnie — potwierdziła pokojówka. — Nie wiem jednak o niej nic bliżej. Żebym mogła pójść do hotelu, tobym się tam czego dowiedziała.

— A któż ci broni?

— Nikt, ale nie mam czasu! — odparła przebiegła subretka.

— No, to ci każę, pójdź i dowiedz się o wszystkiem dokładnie.

Z wielkiej radości, mając tylko na myśli to jedno, że pod pozorem hotelu, będzie mogła i inne wizyty porobić, otóż uradowana Handzia, zapominając o objedzie, poczęła opowiadać coś ciekawego, gdy nagle drzwi pokoju otworzyły się z łoskotem, w nich ukazała się zaczerwieniona postać pana Amadeusza, a głos straszniejszy od trąby Archanioła zawołał: „objad.“

Pani i służąca oniemiały z przestrachu. Helena chwyciła pierwsze lepsze okrycie i za chwilę siedziała przy stole.

Było już jednak pięć minut spóźnienia, i przekroczono regulamin toaletowy.

Pan domu milczał ponuro.

Przy pierwszem daniu, nałożył na kucharza karę. Przy drugiem zbił talerz i rozlał wino. Przy trzeciem wypędził służącego, i kazał zawołać Handzię. Ale Handzi już nie było.

Rozmawiała w tej chwili z Rózią. Gdy się naokłamywały jedna drugą różnemi ploteczkami, napomknęła mimochodem Rózia, o słabości Gucia.

— Ciężko chory — mówiła — może już nie żyje! Właśnie matka jego przyjechała, wezwana zapewne telegrafem.

— O, niewierzę ci! Wczoraj przecież był u nas!

— I ten anglik był wczoraj zdrowy, a dzisiaj!... — odparła subretka, ciesząc się w duchu z zakłopotanej miny Handzi. — Zresztą patrz, właśnie wychodzi pani Z., — dodała żegnając towarzyszkę.

Na widok matki pana Gustawa, Handzia nie wątpiła tym razem o prawdzie słów Rózi. Przejęta tak ważną nowiną, poskoczyła ku domowi, ażeby się nią podzielić z panienką. Weszła właśnie w chwili. gdy reszta służby była w najwyższem zakłopotaniu, niewiedząc jak zawiadomić pana o jej nieobecności.

— Idź panna usługiwać do stołu! — krzyknął służący. — Nie zazdroszczę pannie! — dodał drwiąco.

Handzia nie bardzo się tem zmartwiła tym razem. Dawało jej to sposobność zawiadomienia panienki, jeszcze w ciągu objadu o ważnej nowinie. Porwała więc podany przez kucharza półmisek, i weszła śmiało do pokoju. Przy podawaniu pannie Helenie szepnęła:

— Pan Gustaw umiera, pani przyjechała!

Lecz zaledwie dokończyła te słowa, panna Helena zbladła i usunęła się bezwładnie z krzesła. Przelękniona ciocia, rzuciła się ku upadającej; poczęto ją trzeźwić, oblewać wodą, nareszcie musiano odnieść do jej pokoju. Jeden pan Amadeusz nie ruszył się z miejsca, lecz milcząca ta i bierna jego postawa, nabawiała nie małego strachu domowych.

Wśród największego zamięszania, weszła pani Zofia

z wesołym uśmiechem na ustach.

Panna Aniela i Handzia patrzyły na nią ze zdumieniem.

— Co mi się tak przyglądacie? — pytała zdziwiona tak tem, jak widokiem omdlałej Heleny. — Czy chora? — pytała zbliżając się do niej, i przykładając rękę do jej bladego czoła.

Helena drgnęła od tego dotknięcia, i otworzyła oczy.

— Pani! — jęknęła — i łzy potoczyły się po wybladłych licach.

— Lecz na Boga!... co to wszystko znaczy? — pytała pani Zofia.

Panna Aniela i sługa, nie śmiały odpowiadać, a raczej nie wiedziały jak powiedzieć. Widocznie matka nie wiedziała jeszcze o nieszczęściu, jakie ją spotkało.

— Syn pani... — mówiła Helena wśród łez.

— Mój syn?!...

— Pan Gustaw... trochę chory... — poczęła ośmielona panna Aniela. Lecz pani Zofia już nie słyszała jej dalszych słów, gdyż wyszła z pokoju, zbiegła na dół i dopadłszy dorożki popędziła ulicą.

Panna Helena uspokoiła się powoli, lecz głęboki smutek wyrył się na jej pięknej twarzyczce.

— Kocham go — szeptało dziewczę — bez niego nie ma dla mnie życia!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

WDOWIEŃSTWO ALINY.

(Ciąg dalszy)

Para sędziwa stróżów tej siedziby, była tak samo poinformowaną. W ich przyjęciu nie było podłej uniżoności, postarali się jednak, aby młoda ich pani została pomieszczoną jak najwygodniej, w czem wielce im dopomogło przysłanie im naprzód — zawsze za radą praktycznej hrabiny Olgi — mebli, narzędzi rozmaitych i naczynia kuchennego. Mimo, iż wiosna skłaniała się już ku latu, wieczory w górach były chłodne, to też w paradnej sypialni palił się tutaj ogień na kominku marmurowym, i na zgrabnym stoliczku stała smaczna kolacyjka. W latach ośmnastu, mimo największych trosk i zgryzot, poddajemy się chętnie wrażeniom nowym, nie przewidzianym, nie codziennym. Alina jadła z dobrym apetytem, zamieniła kilka słów z miss Ruth, i dwojgiem staruszków siwowłosych, którzy jej na wyścigi usługiwali, cieszyła się niejedną rzeczą niezwyczajną, która jej tutaj w oko wpadała, zasnęła wreszcie smacznie i twardo, w ogromnem łożu na słupkach, z pawilonem z wypłowiałego adamaszku, ozdobionym pysznemi złotemi frenzlami. Łoże to odwieczne dziwnie odbijało od mebli filigranowych, z Paryża nadesłanych. Gdy obudziła się rano w tej komnacie staroświeckiej, obwieszonej gobelinami, powiodła w koło wzrokiem zdziwionym i zaciekawionym. Tak samo zdawały się na nią patrzyć figury mitologiczne, z oczami wybałuszonemi na gobelinie przedstawione. Po raz pierwszy od dnia ślubu fatalnego, budząc się miała inne uczucie, niż owo pełne trwogi serca ściśnienie, na myśl, iż znowu trzeba żyć dalej. Ubrała się prędko, aby zapoznać się lepiej ze swoją nową siedzibą.

Z bliska i przy blasku słonecznym, mniej dobrze się przedstawiała, niż zdaleka, w mroku wieczornym. Mury popękane, świeciły się szparami, nie dość zakrytemi, mnóstwem roślin i dzikich krzaków agrestu, których nasionka z wiatrem tam przyleciały, a mury wilgotne, dopomogły im do kiełkowania i rozrostu bujnego. Z kaplicy, sali dolnej, która niegdyś załodze zamkowej służyła, i sali górnej, nazwanej „rycerską", zaledwie szczątki pozostały, za to schody kamienne jeszcze się nie źle trzymały, i po nich Alina bez wielkiego trudu, dostała się na dawny taras zamkowy. Sam jeden zastąpił on jej pałac najkosztowniej urządzony. Nigdy widok wspanialszy nie uderzył jej wzroku. Obejmowała jednym rzutem oka jezioro Chambon, to cudowne źwierciadło, utworzone, jak utrzymują geologowie, przez zatrzymanie się lawy, wyrzuconej z góry Tartaret, a płynącej wzdłuż doliny Chaudefour tak ponurej, wyżej, w okolicy Sançy, ale tak roskosznej w tem właśnie miejscu, gdzie odbija cudownie łąkami kwiecistemi i gajami zielonemi od wieńca gór skalistych, i ogniem wulkanów zwapionych. Bloki skał niebotycznych, dziwnie połupanych i powyzębianych, okrągłe cysterny, ocienione ponuremi świerkami, strumyki niby pasek srebrny, wijące się wśród łąk kwiecistych lub z hukiem i szumem w perlistych kaskadach po skałach spadające, ślady lawy zastygłej połyskujące w słońcu, niby wielka rzeka nieruchoma, popielato zielonkowata, wszystko to słało się pod stopy Aliny, jakby zawieszonej między niebem a ziemią. Zdawało się, że buja niby ptak w powietrzu, że wznosi się po nad wszystkie brudne namiętności, okrucieństwa i kłamstwa nikczemne życia na ziemi; coś nieokreślonego szeptało jej z cicha, że ta samotność, te cuda natury, wrócą jej spokój zamącony, jeżeli nie szczęście, które straciła na zawsze. O! jak jej potrzeba było tego dusznego wypoczynku, po strasznych przejściach, w których o mało z rozpaczy zmysłów nie straciła; a wszyscy — zapominając, że boleść prawdziwa jest zwykle niemą — dziwili się jej krwi zimnej i odwadze niesłychanej!

Wkrótce oswoili się wieśniacy z tą piękną, bladą panią w żałobie, łagodną, uprzejmą, która dopytywała się troskliwie o ich potrzeby, i dzieci ich pieściła. Dziwili się trochę, że taka wielka pani chodzi piechotą po górach, zbiera zioła całemi snopami, które oni po prostu trawą nazywają, robi kolekcje żuzli wulkanicznych i skalaktytów, które w ich wyobrażeniu były prostemi kamykami. Panna Mistrzyni (tak Angielkę nazywali), to także dziwne straszydło na ptaki. Nikt nie może zrozumieć jej mowy świszczącej, a zęby jej wyłażą nieprzymierzając jak kły u nierogacizny. Zna się na książkach jak sam ksiądz proboszcz, ale na mszę nie chodzi. A młoda pani także wiele czyta,

musi być taka moda w Paryżu!

Były to jedyne uwagi, które z cicha powtarzano o paniach przybyłych, aż naraz wieść się rozeszła, iż mąż musiał z podróży powrócić, bo młoda pani odjeżdża napowrót do Paryża. W rzeczy samej rodzina de Sénonnes pragnęła i wzywała Alinę do powrotu, bojąc się, aby ją wśród gór zima wczesna nie zaskoczyła, przeciw której wcale nie była zaopatrzoną. Ona jednak nie spieszyła się bynajmniej z opuszczeniem pustelni swojej, gdzie zajmowała się pożytecznie, gdzie nie jedno szczerze ją interesowało.

Miłosierdzie kładło jej w rękę igłę, aby dla biednych dziatek wiejskich przysposobić odzież ciepłą na zimę; robiła dalekie wycieczki po okolicy, w małym wózku góralskim, zaprzężonym parą pony, które jak muły po górach piąć się umiały; stworzyła sobie ogródek na tarasie ulubionym, układała zielnik i zbiór ciekawy minerałów; zamiłowanie do nauk ścisłych, wzięło górę nad otrętwieniem moralnem, dzięki namowom miss Ruth, która czuwała troskliwie, aby to chwilowe uspokojenie, odczute wobec potężnej natury, nie przemieniło się w chorobliwe rozmarzenie, w apatją pełną melancholji, ubezwładniającą wszelkie władze ducha. Krytycy nieubłagani sawantek zapominają, o ile kobietom w szczególności, nauka brana serjo jest potrzebną w ciężkich życia kataklizmach, jak im pomaga wyjść z koła zaklętego dumania nad własną niedolą, jaką jest bronią przeciw wszelkim pokusom, które im świat, jako jedyną pociechę w nieszczęściu, podsuwa zdradliwie.

Każdego ranka odbierała z poczty, co tylko w Paryżu wydrukowano. Raz w zeszycie *Revue des deux mondes*, napotkała przypadkiem pseudonim Marka Seweryna. Znała go dobrze, i wydawał jej się stokroć chwalebniejszym, niż głośno brzmiące i starożytne nazwisko hrabiów de Sénonnes. Podczas dni krótkotrwałych słodkiej ułudy, nazywała tak nieraz po cichu narzeczonego, myślała z roskoszą o chwili szczęśliwej, kiedy dumna stanie obok niego, podniecając talent gorącem współczuciem, szczerym zapałem, zachęcając go do wytrwania na tej drodze pracy umysłowej, która — według jej przeczuć — miała imię jego podnieść i okryć sławą nieśmiertelną. Zetknięcie z tem nazwiskiem było tak nagłe i niespodziewane, wzruszenie niem wywołane tak gwałtowne, iż z krzykiem książkę z rąk wypuściła, jak gdyby uczuła węża ukąszenie.

W dni kilka po przybyciu do Bruyéres, odczuła coś podobnego, gdy układając w biurku papiery, spotkała się oko w oko z jakąś zabraną przypadkiem fotografją Gastona. Szybko szufladę zatrzasnęła!... Odtąd nawet się do biurka niezbliżała, jakby się bała, żeby się znowu nie wychyliła ku niej twarz wroga nieprzebłaganego. Tu gorzej jeszcze; nie tylko martwe rysów odbicie, ale echo własnej myśli jego przychodzi zatruwać jej na nowo spokój, tak mozolnie w tej pustyni zdobyty. Nie będzie czytała, spali te kartki nieszczęsne, których sam widok serce jej rani... nie pokaże ich nawet miss Ruth, aby się nie domyśliła, jak ją dotknęły głęboko!

Zeszyt dostał się do owej szufladki, gdzie już przedtem portret umieściła; jednak Alina częściej — mimo iż jej zszedł z oczów — o Gastonie myślała. Wrócił więc o tyle do równowagi, umie tak panować nad sobą, iż potrafi rzucać na papier marzenia poetyczne, namiętne, wlane w serce jego przez miłość tej kobiety, której oddał na pastwę żonę własną? Gdyby przecież zdobyła się na tyle odwagi?... mogłaby się z jego pracy najłatwiej dowiedzieć — o co wstyd niewieś i pytać nie pozwalał — czem się zajmuje? co się z nim dzieje? Wybór przedmiotu, sposób tegoż traktowania, są najpewniejszemi w takim razie wskazówkami. Z dziwną mięszaniną wstrętu, ciekawości i nieledwie pogardy dla własnej słabości, wydobyła ze schowku pracę Gastona i przedsięwzięła odczytać ją, jakby wyszła z pod pióra kogoś zupełnie jej nieznanego. Gwałtowne serca bicie ostrzegało ją przecież, iż szuka tam czego innego, niż to co stało wydrukowane, że szuka nici przewodniej, aby zgłębić tajemnicę życia, w którem na pozór nie bierze żadnego udziału.

Trwoga przedtem co odkryje, była połączona z chęcią tak naturalną u kobiety... dogodzenia palącej ciekawości.

Był to rozbiór krytyczny, świetny i wyczerpujący poezji Leopardi'ego, przeplatany wyjątkami tłumaczonemi z całym ogniem i charakterem ponurym teorji serce rozdzierającej, o l'Infelicita... i to nosiło datę z Włoch! A więc w kraju pełnym blasków słonecznych, gdzie szukał wolności, unosząc tę w ramionach, która dla niego jedyne szczęście przedstawiała. Możnaż było w to nie uwierzyć, skoro dla niej nie wahał się opuścić ojczyznę, wyrzec się rodziny, skoro podeptał nogami bez miłosierdzia i poświęcił jej istotę niewinną, której przyszłość cała od niego zawisła nieodwołalnie? — Otóż w tym kraju roskoszy, nie znalazł nic lepszego, jak rzucać przekleństwa wraz z wielkim poetą pessymistycznym, którego tłumaczył i komentował, na życie stokroć gorsze od śmierci, na obojętność natury wobec cierpień ludzkości, na wszelkie ziemskie ułudy i namiętności, jak sława, genialność, cnota, piękność, miłość nawet! Alina uczuła się dziwnie wzruszoną i przerażoną, głęboką ironią i dziką goryczą, goryczą, która wiała z tego studjum. Było ono poświęcone nie tyle Leopardi'emu, nie tyle wadom dzisiejszego społeczeństwa, ile po prostu zamykało w sobie analizę namiętną cierpienia samolubnego, które chcąc wykazać, jak nędznem jest życie ludzkości w ogóle, pod tym pozorem spowiada się z własnych bolów i nędzy moralnej. Duchy słabe uciekają się często do podobnej negacji wszelkich obowiązków rzeczywistych, ogłaszając teorję nicości, aby zagłuszyć wyrzuty własnego sumienia. To przekonanie filozoficzne na pozór, jest zwątpieniem rozpaczliwem.

Tak to pojęła Alina... a raczej odczuła magnetycznie, wśród niepewności i trwogi, która ją coraz silniej opanowywała.

— Boże mój! jest więc tak bardzo nieszczęśliwym? Nieszczęśliwy obok niej?... może przez nią samą?...

I uczucie litości nieokreślone... niewyraźne... budziło się w jej sercu, podczas gdy usta szeptały, jakby dla przypomnienia, ile względem niej zawinił:

— Nieszczęśliwy?... Czyliż na to niezasłużył!

IX.

Gaston czuł się istotnie nieszczęśliwym, stokroć więcej, niż się to biedne dziecię domyślało, więcej niż radby był przyznać sam przed sobą, a świat, który tak się litował nad ofiarą tego męża zbiega, mógłby był, gdyby chciał być sprawiedliwym, oddać część tego współczucia... tejże katowi. Nie można się oprzeć częstokroć serca porywom, szczególniej gdy pozory odwagi i szlachetności, rzucają na nie blaski ułudne. W gruncie są one zwykle szałem i słabością, dowód najlepszy, iż skoro zniknie zapora, która przepaść zamykała, mija zapał szalony. Ten, który przed chwilą był gotów lecieć w otchłań, na złamanie karku, skoro nikt mu nie stoi na przeszkodzie, zaczyna się namyślać i albo zatrzyma się na brzegu, lub też jeżeli rozpęd był nadto silny, wpada przepaść, aby gorzko tego żałować. Przy łożu Blanki dogorywającej, zdało się Gastonowi, iż budzi się w nim miłość na nowo, miłość stygnąca oddawna, i która wkrótce miała zostać li wspomnieniem. Poczucie wielkiego niebezpieczeństwa, wielkiej ofiary, dodawało mu bodźca i służyło za wymówkę. Miał stoczyć walkę z prawem, rodziną, społeczeństwem, śmiercią nawet. Wszystko sprzysięgło się, aby odwieść go od czynu, nie dającego się niczem wytłumaczyć, a który jemu wydawał się rodzajem bohaterstwa, skoro stawał w szranki sam jeden przeciw tylu! Aby osłodzić ostatnie (jak się zdawało) chwile kobiecie umierającej, którą zgubił, zamykał sobie odwrót, zrywał z rodziną, zrzekał się majątku, odrzucał jako balast w życiu niepotrzebny cześć i szacunek ludzi uczciwych. Nadzieja pojedynku z mężem obrażonym, była mu również pewną ulgą; nie wątpił, że i pan Béraud zechce w krwi jego obmyć zniewagę śmiertelną, bratanicy wyrządzoną; przewidywał zupełnie inne wypadków rozwikłanie, niż miało nastąpić. — Pozwolę się zabić — mówił sobie — i uczynię wolną Alinę. — Wybierał rolę najpiękniejszą. W bujnej wyobraźni, chętnie na takich poświęcających się bohaterów polujemy, nieubłagana jednak loika faktów rzeczywistych, narzuca nam rolę o wiele podrzędniejszą. Tak się stać miało i z Gastonem. Starzec, którego chciał oszczędzić w pojedynku, umarł tymczasem nie żądając satysfakcji. Uległ zapewnie ranie straszniejszej, niż od kuli lub pchnięcia szpadą, ranie w samo serce zadanej. Pan d'Herblay uznał, iż jest dostatecznie pomszczony, skoro przy nim zostaje posag żony, a Blanka zacięży jak kamień młyński człowiekowi, któremu całą przyszłość zwichnęła w przystępie szaleństwa, który atoli dziś rad nie rad, musi się nią opiekować. W końcu Blanka wbrew wszelkim przewidywaniom, wracała powoli do życia, z zdrowiem zrujnowanem, przerażona złem, które popełniła.

W tych wypadkach nieprzewidywanych, Gaston poszedł jedyną drogą, która stała przed nim otwarta; wziął na ramiona ciężar tego życia złamanego, użył całej wymowy, aby przekonać panią d'Herblay, że spełniło się wreszcie jego najdroższe marzenie: bo czyż nie pragnął od dawna, aby jakieś nagłe postanowienie, przewrót niecofniony, połączył ich na wieki węzłem nierozerwalnym? To postanowienie atoli musiało wyjść od niej, tysiące skrupułów, łatwych do zrozumienia, wstrzymywało jego chęci zerwania i podeptania wszelkich przeszkód, które ich rozdzielały; poświęcili wzajemnie miłość względom podrzędniejszym, i miłość się na nich zemściła; teraz stoją samotni wśród świata; mogą tylko wzajemnie się rozumieć i być jedyną pociechą jedno dla drugiego. Obok Blanki czyż mógłby czego żałować? Tak często zdanie to wygłaszał, iż w końcu sam w prawdę słów swoich uwierzył. Radość cicha, pokorna i pełna niepokoju tej biednej kobiety, którą z grobu wyrwał i do życia powrócił, a która wiecznie mu powtarzała: — Wszystkom ci winna, rób ze mną co ci się podoba — podnosiła w nim do szału niemal poczucie poświęcenia i odpowiedzialności. Jak zwykle zakochani, szukali schronienia w tym raju ziemskim, dokąd zawsze miłość dąży, gdzie tyle już marzeń namiętnych rozwiało się i zniknęło, przez sam zbytek w wylaniu, przez brak podstaw moralnych, wskutek wyłamywania się z pod praw boskich i ludzkich. Ułuda szczęścia była jednak szczerą tylko ze strony Blanki. Dumną była, iż umierająca zwyciężyła młodszą rywalkę, zachwycało ją posiadanie Gastona wyłącznie dla siebie, bez przeszkód i podziału, wracała do życia, które w kwiecie wieku, miała już za stracone, a wracała pod okiem Gastona, otoczona najczulszemi jego staraniami. Wszystko się przyczyniało, aby ją pod tym względem oszukać i omamić. Nigdy się nie spodziewała, żeby on, tak rycerski, tak drażliwy na punkcie honoru, był gotów popełnić nawet dla niej czyn nieszlachetny. I tem się po cichu pyszniła, będąc tylko kobietą o tyle dziecinną i próżną, o ile była czarującą! Nie zastanowiła się, iż ta miłość nagle zgalwanizowana, już się miała ku końcowi, i stygła powoli jak wulkan wypalony, że od pierwszych dni w najgwałtowniejszym paroksyzmie gorączki i egzaltacji, kiedy Gaston zapewniał ją najsolenniej, że wszystko i wszystkich potrafi mu zastąpić, coś się pomiędzy nich wciskało, niby zapora niewidzialna. To coś, w oczach Blanki nie przybierało kształtów wyraźnych, Gaston atoli wiedział, czem ono jest, aż nadto dokładnie. Była to twarzyczka szczera, łagodna, młodej dzieweczki, która całą przyszłość swoją w jego ręce złożyła, która słowu jego tak święcie zaufała, on zaś zdeptał jej wiarę dziecięcą, on słowo złamał najhaniebniej! Gdy zjawienie się ukazywało — a widywał takowe co chwila — serce mu się ściskało najokrutniej, brzydził się sam sobą, i budziło się w nim gniewne uczucie przeciw wspólniczce, która go popchnęła do tak nikczemnego opuszczenia. Aby czyn haniebny usprawiedliwić, wywoływał w pamięci ową noc straszną w której litość nad Blanką konającą, przykuła go wbrew wszystkiemu, do tegd łoża boleści, przez dziwną jednak halucynację widział na tem łożu nie Blankę, tylko zupełnie inną istotę, z twarzyczką równie bladą, z oczami równie zapadniętemi... widział wiecznie Alinę... a dla tej nie miał litości!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pogadanka.

Deszczyk ciągle kapu, kapu,
Człek po błotku chlapu, chlapu,
W okół wilgoć i mgły dymy,
Oto obraz naszej zimy!

Fe, fe, i jeszcze raz fe! Czy te nieporządki niebieskie raz nie ustaną? Brodzimy wszyscy na wzór bocianów po kostki w błocie, żałosnem okiem spoglądając na niebo i na magistrat, oczekując cierpliwie zmiłowania bożego lub magistratualnego. Niestety, ani jedno ani drugie jakoś nie przychodzi, bo widocznie obydwaj referenci tych spraw zasnęli razem z susłami, a obecna odwilż z tego letargu jakoś dotychczas obudzić ich nie może. Do niebieskiego referenta zbyt daleko, bym go mógł w tej sprawie interpelować, zresztą nawet nie wiem kto tam obecnie te sprawy załatwia, a że nasz referent lwowskiego śmiecia i błota bliżej się znajduje i musi się budzić choć raz na miesiąc dla pobrania pensji, udaję się do niego z tą pokorną prośbą i zapytaniem, czyby się nie dało jakim cudem choć kilka pryncypalnych ulic trochę oporządzić? Może sz. ten pan spuścił się zupełnie na to, że w skutek mej odezwy wkrótce kometa zjawi się we Lwowie i wymiecie wszystko śmiecie i błoto z naszych ulic, lecz muszę tym razem choć z bolem serca wywieść go z koła tych różowych nadziei, bo odezwa ma była bezowocną, gdyż zapraszany kometa popędził hen, w etery i coraz dalej od nas ucieka.

Przy takiej aurze człowiek mimowoli staje się uszczypliwym sceptykiem i łaje, zrzędzi jak stary kawaler. Nie dziwcie mi się przeto, że całą dzisiejszą pogadankę zapełnię samemi narzekaniami, bo mię ta rynna pod oknem swem jednostajnem dudnieniem i chlapotem niemal do rozpaczy doprowadza! Nie mając w tej chwili nikogo, z kimbym mógł się serdecznie wykłócić, a czując tego konieczną potrzebę, zacznę od Was łaskawe czytelniczki, a nawet dziwi mię to bardzo, żem tego dotychczas nie uczynił, bo wszelkie kłótnie z płcią piękną mają tę wielką zaletę, że nie kończą się nigdy krwi rozlewem, (lecz w najgorszym razie łez) i czy jest się zwycięzcą czy pokonanym, zawsze czas mile przeszedł.

Ale do rzeczy, bo przy nadchodzących świętach sprawa ta będzie na czasie.

Dziwi mię to nadzwyczaj, że płeć piękna, mająca tyle wrodzonej poezji i poczucia piękna, tak chętnie wszelkie swe interesa kupieckie załatwia z tem niechlujnem żydowstwem. Zadawałem już nie raz sobie to pytanie, i klucza do tej zagadki w żaden sposób znaleźć nie mogłem, bo imaginacyjna taniość tandety, nie może wchodzić przecież w rachubę. Nie pojmuję, jak kobieta inteligentna może bez wstrętu wchodzić do tych brudnych sklepów żydowskich i wśród charkotu tej chałastry, wśród tych zapowietrzonych ulic, pozwalać się dziesięć razy napowrót zawracać do sklepu, by w końcu kupić towar, wysprzedawany w fabrykach jako zleżały za połowę ceny. Nasze panie w żaden sposób nie dadzą sobie tego wytłómaczyć i choć już tysiące ludzi o tem pisało i mówiło, choć nie raz nie jedna słuszność przyznawała i narzekała na szachrajstwo żydów, gdy jej jaką najmniejszą drobnostkę kupić wypadło, z pewnością jak dawniej kupiła ją u żydów. My mężczyźni, czy to że nie jesteśmy tak drobnostkowo oszczędni, czy też że mamy więcej zmysłu praktycznego, czy może wreszcie odstrasza nas to niechlujstwo właściwe tej rasie, dość że co się zakupów na zwykłe potrzeby tyczy, rzadkie mamy z nimi stosunki. Przykro aż nie raz patrzyć, jak oblęgane są kramy żydowskie i różne bazary tandety wiedeńskiej, gdy kilka nieraz karet oczekuje przed Jakubkiem lub Mendlem, a sklepy naszych kupców świecą pustkami.

Fe! moje piękne panie,
Wy się źle bawicie,
Dla Was to jest igraszką,
Nam idzie o życie!

Złośliwi twierdzą, że głównym powodem tej sympatji płci pięknej do naszych nie bardzo czystych (w obydwu znaczeniach) braci wyznania mojżeszowego, jest, że nasze panie lubią się należycie „wygadać“, a żydkowie znając tę ich przywarę, pozwalają potokowi słów szumieć i płynąć szerokiem korytem. Jeśliby tak było, czemu ja naturalnie nie wierzę, raczcie łaskawe panie przy nadchodzących świętach kupować wszystko u katolików, a strumień swej wymowy schowajcie dla niżej podpisanego, który z chęcią weźmie na siebie obowiązek cierpliwego słuchania Was choćby i jak długo, raczcie go tylko powiadomić o miejscu i czasie.

Widząc Was już nadzwyczaj zbudowane tą poważną i długą perorą, i w nadziei, że druga taka nie będzie Wam już potrzebna, przystępuję do dalszego zrzędzenia, bo ta brzydka rynna coraz bardziej mię rozdraźnia.

W dodatku powieściowym *Szczutka*, począł wychodzić poemat pana Włodzimierza Stebelskiego pod tytułem: „Roman Zero.“ *Gazeta narodowa* i pan J. Lam w swej „Kronice niedzielnej“ wyrazili się o nim z wielkiem uznaniem. Nie chcę przesądzać tej sprawy, lecz pojąć nie mogę, dlaczego tak pohopnie i porywczo wydali sąd o poemacie, którego początek dopiero poznali i który zapewne tylko przeglądnęli, bo wątpię, żeby przeczytawszy z uwagą, zechcieli pierwotne swe zdanie powtórzyć. Panu Stebelskiemu trudno odmówić talentu satyrycznego, lecz ten poemat albo przerósł jego siły, albo puścił go on w świat bez należytego opracowania. Zawiłość i niejasność jest tak wielka, że czytając niektóre ustępy, pytasz się ze zdumieniem, czego właściwie chce autor, co zamyśla przez to powiedzieć? Nie będę się zresztą dłużej o tem rozpisywał, bo *Różowe Domino* w ostatnim numerze dało należytą odprawę temu poematowi, dla próbki zaś zacytuję ot, naprzyład tę strofę:

„Czy znasz Pan skarby, co błyszczą w Porzeczu?
Ach, my nie znamy skarbów wśród omamień! (!!!)
W porzeckiej ziemi pacierzowym mleczu, (!!!)
Leży cudowny, złotodajny kamień!
Na tej idei stoim jak na mieczu, (!!!)
I pan się cały w nią z zapałem zamień!
A zaczynając akcji epopeę
Rzekł do Krywełły: „Pokaż pan ideę!“

Jeżeli kto mi powie, co autor tu chciał powiedzieć, temu dam konia z rzędem i niebieskim ogonem!

Na zakończenie zaglądnijmy jeszcze do teatru. „Lekka kawalerja“ operetka dwuaktowa Souppe'go przyjęła się szczęśliwie na naszej scenie. Jest to sztuka czysto narodowa węgierska, tak libretto jak i muzyka, złożona przeważnie z czardaszów. Całość jest wcale miła i dźwięczna.

W poniedziałek odbyło się zapowiedziane jubileuszowe przedstawienie, i wypadło bardzo dobrze, szczególnie część wokalna, jednakże teatr świecił pustkami. Wa[illegible] było przecież uczcić półwiekową pracę naszego weterana [illegible] 31.

Kwik-kwak.

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.